

Wypieranie rosyjskości

20 maja 2022, Pobierowo¹

Moja wypowiedź dzisiaj miała zaczynać się zupełnie inaczej i być o czymś zupełnie innym. Luźne notatki, które zdążyłam przygotować, zaczynały się tak:

W zasadzie nie będę dziś mówić o wojnie. W jej obliczu nie czuję się wcale gotowa do objaśniania świata, a wszelkie próby porządkowania go dla siebie w ostatnich trzech miesiącach przez pryzmat pojęć i narzędzi, w które jestem wyposażona jako historyczka literatury, wpędzają mnie w stan bezradności, niemoty, błahości i rozgorzyczenia.

Kiedy słuchałam wczorajszych wystąpień, coś we mnie zachrząściło. W dyskusji po referacie Aleksandry Grzemskiej wspomniałam później, że wśród stanów, w które popadam od końca lutego, przeważa dysocjacja. Ale coś w jej wypowiedzi wytrąciło mnie z tego stanu i wymusiło zmianę kierunku.

Z kryzysów, które planowałam omówić, zostały tylko kryzysy tożsamości.

„Rosja jest siłą pochłaniającą i zasysającą” – zanotowałam wtedy.

Byłam tym dzieckiem obcokrajowcem, nauczonym języka polskiego jako obcego pomiędzy lekcjami w polskiej podstawówce, do której trafiłam pod koniec września 1999 roku. Pani Anna Tomczyk mówiła wczoraj o tym, jak ważne są dla jej dzieci pierwsze samodzielne próby użycia języka w pozaszkolnych okolicznościach. Dla mnie taką próbą było powiedzenie: „Poproszę długopis” w przydomowym piapierniczym przy ulicy Chrobrego.

Mój ojciec jest rosyjskim Kazachem pochodzącym z okolic ujścia Wołgi do Morza Kaspijskiego, a matka kubańską Kozaczką, która urodziła się w Jurowce nad Morzem Czarnym, niedaleko Azowskiego. Część jej rodziny po żeńskiej linii przywędrowała zresztą z ziem ukraińskich, gdy po rozkułaczeniu musiała zmienić nazwisko i rozpiezchnąć się na różne strony w poszukiwaniu bezpieczeństwa w nowym ładzie społecznym. Gdy w połowie lat 80. moi rodzice, jako młode małżeństwo, szukali dla siebie zawodowych perspektyw, które miałyby im zapewnić

¹ Niniejszy tekst jest zapisem wystąpienia podczas konferencji „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety? Narracje i metodologie kryzysowe po 24 lutego 2022”, zorganizowanej przez Instytut Literatury i Nowych Mediów Uniwersytetu Szczecińskiego.

materialne zabezpieczenie, mieli do wyboru dwie ścieżki. Mój ojciec mógł podjąć się pracy przy wyrębach lasów za Władywostokiem lub zatrudnić się jako cywil w magazynie wojskowym w którejś z jednostek sowieckiego wojska rozsianych na terenach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej lub dalej na zachód, w ówczesnym NRD. Dziadkowie oprotestowali Władywostok, więc rodzice – wraz z moją kilkuletnią siostrą – przenieśli się do małego Jawora, do którego można było wtedy dojechać bezpośrednim pociągiem wprost z moskiewskiego dworca. Ja urodziłam się niedługo po tym, w pobliskiej Legnicy, „małej Moskwie”, w wojskowym szpitalu, z którego wyszłam z wypisanym cyrylicą aktem urodzenia z okładką zdobioną godłem ZSRR. Pierwsze lata swojego życia spędziłam na Dolnym Śląsku, z którego zostałam wyrwana w połowie lat 90., kiedy rodzice postanowili wrócić do Rosji. Na krótko. Z ojczyzny naszej rodzinie – już wtedy przemielonej przez maszynę toczącą się pierestrojki – udało się uciec dopiero pod koniec ubiegłego stulecia, z powrotem do Jawora.

Byłam więc tym dzieckiem obcokrajowcem, cofniętym o dwie klasy, żeby móc przyswoić sobie na nowo nie-obcy język polski. Szukającym najwyraźniej dróg asymilacji: angażując się w lekcje religii, podchodząc do komunii i grając w jasełkach (choć nigdy nie dostałam roli Matki Boskiej, ponieważ katechetka uznała, że jestem na to „zbyt czarniawa”). Byłam tym dzieckiem dorastającym w poczuciu rozdarcia. Z domu znalazłam opowieści o Wojnie Ojczyźnianej i pradziadku, który doszedł wtedy pod Berlin – idąc przez Pragę – niosąc wyzwolenie; a poza domem – na rodzinnym przyjęciu u przyjaciółki – słuchałam o „rosyjskiej swołoczy”, która zapaskudziła Legnicę, tę samą, w której przecież przyszłam na świat. Byłam tym dzieckiem, które czuło palący wstyd, kiedy ojciec przyjaciółki poprosił rozgadanego wuja o stonowanie wypowiedzi, bo mamy wśród siebie „Rosjanek”.

Obcokrajowcem byłam zresztą aż do dwudziestego piątego roku życia. Po całej szkole spędzonej w Jaworze, po zadowalających wynikach egzaminu dojrzałości, po dostaniu się na warszawską polonistykę i skończeniu dwóch kolejnych stopni studiów, wreszcie po nocy spędzonej w areszcie Straży Granicznej na warszawskim Okęciu, do którego ze względu na nieuregulowany pobyt zostałam zgarnięta pomiędzy zajęciami na drugim roku studiów. Doczekałam się w końcu tego papieru, który na zawsze już miał ustanowić moją przynależność, a w zasadzie legalność, i oddalić permanentne wcześniej zagrożenie deportacją. Moją „polskość” zatwierdził wówczas Bronisław Komorowski, w czerwcu 2015 roku, być może w jednym z ostatnich performatywnych aktów swojej kończącej się prezydentury.

W zasadzie całe swoje świadome życie spędziłam na wypieraniu rosyjskości, jak gdyby przeczuwając, że tego domaga się moja polska tożsamość, do której aspirowałam od małego – na pytania ciekawskich członków dalszej rodziny odpowiadając zawsze, że jestem „kubańską Polaczką”. Być może wypieranie to poddyktowane było też strachem o to, że Rosja jest siłą pochłaniającą i zasysającą. Wizyty w której zawsze wiązały się z wewnętrznym kryzysem, ale też z lękiem,

że tym razem zostaną tu na zawsze. Lęk ten zresztą wynikał po części z tego, że nigdy nie udało mi się wrócić z rosyjskich wakacji na czas – jak gdybym każdorazowo próbowała wyrwać się z trzęsawiska. Z powodów czy to rodzinnych, czy finansowych, czy formalnych wracałam więc do Jawora dopiero w połowie szkolnego semestru. Ostatnio lęki przed niemożliwością powrotu zaczęły powracać po 2020 roku, kiedy otrzymałam grant, w którym zobowiązałam się do miesięcznych kwerend w Petersburgu i Moskwie. Pół żartem, pół serio mówiłam wtedy, że boję się jechać, bo przecież jeśli wybuchnie wojna, to nie będę w stanie stamtąd uciec. Uspokajałam się jednak, że przecież jako dorosła kobieta, badaczka z doktoratem, po latach terapii, z papierem na polskość jestem już bezpieczna. Miałam zresztą znaleźć się w Petersburgu pod koniec lutego tego roku, przed czym skutecznie powstrzymał mnie COVID-19, który złapałam pod koniec stycznia – choroba, która niefortunnie, jak mi się wówczas zdawało, wytrąciła mnie z życia na kilka tygodni.

Wczoraj była mowa o tym, że 24 lutego był dla nas momentem konfrontacji z Realnym. Myślę, że dla mnie stał się tym w dwójnasób. Okazało się, że nie mogę już dłużej wypierać swojej rosyjskości. Że w tym szoku i przerażeniu w reakcji na nagrania z nocnych bombardowań ta rosyjskość się po mnie rozlewa i wzbudza lęki inne niż mojej żony, moich przyjaciół, moich współpracowników. Że myślę o tym, że boję się o tym, co się wydarzyło w nocy, porozmawiać z ojcem, który choć mieszka w Warszawie, z przyzwyczajenia ogląda tylko i wyłącznie rosyjskie kanały – proszę sobie wyobrazić przekaz dzisiejszej TVP, ale obejmującej wszystkie dostępne stacje, tłoczącej przekaz rządowej propagandy nie przez lata, ale całe dekady, żeby lepiej wczuć się w ten lęk. Poczułam też strach o rozmowę z matką, której ufałam przecież i nie wątpiłam w jej zdolności krytycznego myślenia.

Uciekłam z tego strachu w działanie. Z przyjaciółką, kierowniczą na zmianę, ruszyłam na granicę ze zbraniami pospiesznie pomocą humanitarną, z intencją przewożenia docierających do granicy uchodźców w głąb Polski. Trafiliśmy do Budomierza, gdzie był jeden ze zorganizowanych na szybko „punktów sortowania”: sortowania napływających darów i napływających ludzi zgodnie z kierunkiem, w którym będą chcieli udać się dalej. Proces ten przebiegał w chaosie, szybko się okazało, że jestem jedną z nielicznych tam osób posługujących się językiem rosyjskim – zanim ruszyliśmy dalej, spędziłam kilka godzin w roli kryzysowej tłumaczki, która zastanawia się, czy rosyjskojęzyczna komunikacja, jaką może zaoferować, nie jest dla uciekających kolejnym aktem przemocy.

Przydzielono nam pięcioosobową grupę. Staraliśmy się obdarować ich wszystkim, co miałyśmy: kawą z termosu, kanapkami, kocami, wreszcie pluszakami zrobionymi przez moją mamę-rękodzielniczkę, która kazała mi je zabrać koniecznie ze sobą, jak gdyby była przekonana, że uszyte przez nią misie i zające są takim samym artykułem pierwszej potrzeby jak woda, płyn do dezynfekcji i zapakowany prowiant.

Tamtego dnia wiozłam więc rodzinę z Sum, w zasadzie dwie rodziny – dwie matki i troje dzieci w wieku szkolnym, w tym nastolatkę. Po kilku dniach pieszej

tułaczki maluchy zasnęły po raz pierwszy, na tylnym siedzeniu mojego samochodu, który prowadziłam po raptem trzech dniach od odebrania prawa jazdy. Zresztą na samym początku, gdy ruszyliśmy z parkingu budomierskiego domu kultury, jedna z pasażerek zapytała mnie, od kiedy mam prawo jazdy, na co enigmatycznie odpowiedziałam, że „nie od dawna”. Poczułam wtedy strach i zawstydzenie tą oferowaną pomocą, że co, jeśli teraz – po tym wszystkim, co przeszły – na tych podkarpackich drogach (mijałyśmy właśnie miejscowość Wielkie Oczy) zamiast do bezpieczeństwa zaprowadzę je do przydrożnego rowu. Jechałyśmy do Krakowa ekspresówką z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, bo usłyszałam od drugiej pasażerki, że boi się podróży samochodem. Prowadziłam, słuchając opowieści o bombardowaniach, ukrywaniu się w piwnicach, brodzeniu przez zablokowane pola – w nocy, w całkowitej ciemności i prawie całkowitej ciszy, którą przerywał tylko huk przelatujących nisko odrzutowców. Słuchałam, starając się pamiętać o swojej szczątkowej psychoedukacji i o tym wszystkim, czego na temat rozmów z ofiarami traumy dowiedziałam się kiedyś od swojej żony terapeutki. Słuchałam tych opowieści, czując też mrowienie powracającej rosyjskości, jak gdybym była impostorem, nie będąc przecież tak naprawdę Polką, jedną z wielu, które ruszyły wtedy do pomocy. Gdy pasażerki zapytały, skąd tak dobrze znam rosyjski, z wahaniem, ale chyba bez rzeczywistych wątpliwości i kalkulacji, żeby zrobić inaczej, dokonałam coming outu, mówiąc, że moi rodzice są Rosjanami, więc nauczyłam się w domu. Myślałam, że po latach outowania się na różnych etapach swojego dorosłego życia byłam już przyzwyczajona do tego stanu napięcia i oczekiwania na reakcję, ale tym razem wychodzenie z szafy miały zupełnie inny posmak. W tym konkretnym momencie okazało się jednak, że to nie ma znaczenia, że dalej jestem widziana jako Ja, a nie jako moje Pochodzenie.

Wróciłam do domu po kilku dniach i myślę, że z powodów czysto samoza-chowawczych nie zdobyłam się już na kolejny wyjazd na granicę. To graniczne zderzenie z wypartą rosyjskością wprowadziło mnie w stan podobny do dysocjacji, ucieczki w abstrakcyjną historycznoliteracką pracę przed zagrożeniami własnej zdestabilizowanej tożsamości. Z tego poczucia oderwania wyrwały mnie przypuszczalnie dopiero wczorajsze słowa Oli o wojnie, halucynacji, szoku i wstydzie, po których postanowiłam odłożyć swoje notatki i przygotować dzisiejsze wystąpienie, którego – wbrew konferencyjnej konwencji – nie potrafiłabym chyba ubrać w naukową narrację i którego nadal nie potrafię spuentować żadną konkluzją ani pogłębioną refleksją. Słowem tłumaczenia powiem może tylko, że można tę wypowiedź potraktować jako refleksję na temat własnego umiejscowienia. Powiedziałam wczoraj, że nie chcę i nie chciałabym umierać za ojczyznę, ale być może to dlatego, że wydaje mi się, iż tej ojczyzny nie mam. Ale mimo tych samozakłęb i pracy wyparcia przecież nie potrafię uciec od poczucia, że coś łączy mnie z tymi ludźmi, którzy przeszli przez Buczę, zostawiając masowe groby. Czy coś więcej niż tylko przynależność gatunkowa?